

ŚWIADECTWA

WYKŁADY O WOLNOŚCI I OPORZE

I. O wolności

AUNG SAN SUU KYI

To, że mogę teraz mówić do was za pośrednictwem BBC, wiele dla mnie znaczy¹. Znaczy to, że znów jestem oficjalnie wolna. Kiedy wolność mi odebrano, oficjalnie zamykając w areszcie domowym, radio BBC mówiło do mnie, a ja słuchałam. To była swego rodzaju wolność – dostęp do umysłów innych. To oczywiście nie to samo, co kontakt osobisty, ale była to jakaś forma styczności z innymi. Możliwość nawiązania kontaktu z ludźmi, z którymi chcielibyśmy dzielić się myślami, nadziejami, śmiechem – czasem nawet gniew i oburzenie są naszym prawem, którego innym nie wolno pogwałcić. Choć nie mogę być dziś z wami fizycznie, jestem ogromnie wdzięczna za tę możliwość skorzystania z prawa do kontaktu z innymi, podzielenia się moimi przemyśleniami o tym, czym jest wolność dla mnie i dla innych ludzi na całym świecie będących w stanie, który nazywam niewolnością.

Zrządzeniem losu, zapowiedzią, a może jednym i drugim, pierwszą autobiografią, którą przeczytałam, była *Siedmioletnia samotność* autorstwa Węgierki, która podczas czystek z początku lat pięćdziesiątych znalazła się w niewłaściwej frakcji partyjnej. Jako trzynastolatkę zafascynowała mnie determinacja i pomysłowość, z jaką ta kobieta umiała zachować bystrość umysłu i hart ducha przez lata, kiedy widywała tylko tych, którzy dzień po dniu próbowali ją złamać. Jest jednym z podstawowych warunków, aby ci, którzy chcą być dysydentami i chcą wytrwać w tym postanowieniu, umieli radzić sobie sami. Takie jest naprawdę w ogromnej mierze życie dysydenta.

Kto wybiera świadomie tak trudne życie? Max Weber wskazał trzy główne cechy polityka, jakimi są pasja, poczucie odpowiedzialności i świadomość proporcji. Pasję opisał jako żarliwe zaangażowanie w sprawę, najważniejsze dla tych, którzy uprawiają najniebezpieczniejszą politykę – politykę protestu. Pasję tę musi mieć każdy, kto głośno bądź po cichu postanawia żyć inaczej niż reszta współobywateli, kto wkracza w inny, rządzący się własnymi niepisanymi prawami, niebezpieczny świat. Świat dysydentów.

¹ Aung San Suu Kyi nagrała oba wykłady dla BBC Radio 4 w swoim domu w Rangunie. Zostały one wyemitowane 28 VI i 5 VII 2011. Opublikowano je w języku angielskim na stronie www.bbc.co.uk/reithlectures (red.).



Jego dziwni mieszkańcy nie wyróżniają się niczym szczególnym. Odwiedźcie w robocze dni lokal Narodowej Ligi na rzecz Demokracji – nasze nędzne, byle jakie, rozpadające się schronienie dla twardzieli. Nazywano je oborą i stajnią NLD – nie obrażamy się, bo mówiono to zwykle z przyjaznym uśmiechem, często z podziwem. I czy nie w stajence zaczął się jeden z najbardziej wpływowych ruchów na świecie?

W naszej nędznej siedzibie spotkacie zwyczajnych ludzi. Starszy, artystycznie rozczochrany pan to stary dziennikarz. Także wybitny opozycjonista – po dwudziestu latach więzienia napisał książkę o swoich strasznych doświadczeniach: *Czy to jest piekło człowieka?*. Nosi zawsze niebieską więzienną koszulę, żeby przypominać, że w birmańskich więzieniach nadal przetrzymywane są tysiące więźniów sumienia. Schludna kobieta w okularach, bez cienia cierpienia i troski na twarzy jest lekarką, siedziała dziewięć lat. Odkąd wyszła trzy lata temu, uczestniczy w programach socjalnych i humanitarnych naszej partii. Jest też u nas parę uroczych osiemdziesięcioletnich pań, przychodzą stale od 1997 r., kiedy przewaliła się fala represji, tsunami, które poszło do więzień tylu naszych demokratycznych towarzyszy. Na jednym z partyjnych zebrań wezwałam żony, dzieci i rodziców aresztowanych, by wsparli sprawę i pokazali junocie, że nas nie pokona i że ci, którzy są jeszcze na wolności, poniosą sztandar tych, którym wolność odebrano. Sztandar poniosły m.in. uroczne starsze panie. I nadal niosą go nieustępliwie.

W lokalu NLD spotkacie kobiety i mężczyzn, o których Birmańczycy powiedzieliby, że są w sile wieku, tzn. po czterdziestce. Przystępując do Narodowej Ligi na rzecz Demokracji, mieli po dwadzieścia parę lat, a nawet mniej, mieli młode twarze i gorejące, wierne sprawie oczy. Teraz są spokojniejsi, dojrzałsi, bardziej zdeterminowani, a ich żarliwość wysubtelniała po przejściach. Nie pytamy, czy siedzieli w więzieniu, pytamy, ile razy.

Są też ludzie młodzi, ale nie nazbyt młodzi, by doświadczyć przesłuchania i aresztu. Twarze

rozjaśnia im nadzieja, ale nadzieja trzeźwa, bez rumienia złudzeń. Wiedzą, w co się wdali. Z całą świadomością rzucili wyzwanie przyszłości. Ich bronią jest wiara, ich zbroją żarliwa pasja – nasza pasja. Czym jest ta pasja? Jakiej sprawie służymy z zaangażowaniem, które każe nam porzucić wygodę zwyczajnego życia? Zgodnie z tym, co Václav Havel nazwał głównym zadaniem dysydentów, poświęciliśmy się obronie prawa osoby ludzkiej do wolności i życia w prawdzie. Innymi słowy, naszą pasją jest wolność.

Pasja to też męka, chciałabym więc stwierdzić, że zarówno w kontekście politycznym, jak i religijnym oznacza ona cierpienie z wyboru – to świadoma decyzja, by przyjąć kielich, który chcemy oddalić. Niełatwo nam ją podjąć – nie lubimy cierpieć, nie jesteśmy masochistami. Wybieramy cierpienie tylko dlatego, że wysoko cenimy, czasem wbrew sobie, przedmiot naszej pasji.

5 maja 2003 r. auta członków i sympatyków NLD towarzyszących mi w kampanijnej podróży do Dabadżin w północnej Birmie zostały otoczone i zaatakowane przez nieznaną sprawców, działających, jak przypuszczamy, na zlecenie junty. Nadal nic nie wiadomo o napastnikach, jednak my, ofiary, trafiliśmy do aresztu. Ja trafiłam do owianego złą sławą więzienia w Insein, gdzie trzymano mnie w odosobnieniu w dość dobrych – co muszę przyznać – warunkach, w domku oddalonym od kwater reszty więźniów.

Podczas porannej gimnastyki – dobra kondycja to jeden z pierwszych obowiązków więźnia politycznego – przytapałam się na myśli, że to nie ja, bo ja nie umiałabym być taka spokojna. Zwinęłabym się bezsilnie w łóżku przerażona losem aresztowanych towarzyszy. Ilu pobito, ilu zabrano cholera wie gdzie, ilu nie żyje? Co z resztą NLD? Umierałabym z niepokoju i niepewności. To nie ja gimnastykuję się tu teraz sumienie jak jakaś fanatyczka siłowni. Nie pamiętałam wtedy strof Anny Achmatowej: „Nie, to nie ja – to ktoś inny cierpi. / Ja nie mogłabym tak, a to, co się zdarzyło / Niech czarne sukna zakry-

ją”². *Requiem* wróciło do mnie dużo później, w areszcie domowym. W chwili przypomnienia poczułam z niemal fizyczną siłą więź łączącą nas, którzy wtedy, gdy najbardziej trzeba nam było siły i odporności, liczyć mogliśmy na siebie samych.

Poezja łączy – nie zna granic przestrzeni ani czasu. U Win Tin – to ten w niebieskiej więziennej koszuli – podczas długiej sesji przesłuchań, którym go poddano, wspierał się wierszem *Invictus* Williama Ernesta Henleya. Wiersz ten inspirował mojego ojca i ówczesnych Birmańczyków do walki o niepodległość, jak inspirował tych, którzy walczyli o wolność w innych czasach i miejscach. Walka i cierpienie, uniesione dumnie skrawione czoło, a nawet śmierć – wszystko w imię wolności.

Czym jest wolność, której tak żarliwie pragniemy? Nasi najżarliwsi dysydenci nie interesują się zbyt akademicką teorią. Gdyby mieli wytłumaczyć, co znaczy dla nich to słowo, wyrecytowaliby pewnie listę spraw najbardziej leżących im na sercu: żeby nie było już więźniów politycznych, żeby była wolność słowa i stowarzyszeń, żebyśmy mogli wybierać ustrój, jakiego sobie życzymy – najogólniej, żebyśmy mogli robić to, na co mamy ochotę. Może to brzmieć naiwnie, nawet niebezpiecznie naiwnie, ale odnosi się do wolności konkretnej, czegoś, co zdobywa się praktycznym działaniem, a nie pojęcia dającego się uchwycić wskutek rozumowania filozoficznego.

Zwolnioną z aresztu domowego pytano mnie, jak to jest być wolną. Odpowiadałam, że nie czuję różnicy, bo w duchu zawsze byłam wolna. Mówiłam o wewnętrznej wolności, która wypływa z podążania drogą harmonii z własnym sumieniem. Isaiah Berlin ostrzegał przed zagrożeniami uwewnętrznienia wolności. Pisał: „Duchową wolność, podobnie jak moralne zwycięstwo, trzeba odróżniać od bardziej fundamentalnego sensu wolności i utartego znaczenia zwycięstwa, inaczej istnieje niebezpieczeństwo pomieszania pojęć w teo-

rii i usprawiedliwiania ciemnienia w praktyce – w imię wolności”³.

Grozi nam niewątpliwie to, że zadowolony się wolnością duchową jako substytutem innych rodzajów wolności, popadniemy w bierność i rezygnację. Ale poczucie wolności wewnętrznej wzmacniać może dążenie do bardziej fundamentalnej wolności zewnętrznej, do zaprowadzenia praw człowieka i rządów prawa. Buddyizm naucza, że ostatecznym wyzwoleniem jest wyzwolenie z wszelkich pragnień. Można stąd wnioskować, że nauki Buddy wrogie są ruchom wolnościowym, dla których wolność to prawa człowieka i reformy polityczne. Zważmy jednak, że birmańscy mnisi buddyjscy uczestniczący w 2007 r. w *metta*, marszu miłującej dobroci, protestowali przeciwko drastycznym podwyżkom cen paliw prowadzącym do kolosalnego skoku cen żywności. Wykorzystali swój autorytet duchowy, by upomnieć się o podstawowe prawo człowieka do ogólnodostępnej żywności. Wiara w wolność duchową nie oznacza obojętności na praktyczny wymiar podstawowych praw i swobód uznawanych powszechnie za niezbędne do tego, by ludzie mogli żyć po ludzku.

Podstawowym prawem człowieka, które wysoko cenię, jest wolność od strachu. Od samych początków ruchu demokratycznego w Birmie musieliśmy walczyć z obezwładniającym uczuciem lęku przenikającym nasze społeczeństwo. Obcokrajowcy szybko zauważają, że Birmańczycy są ciepłi i gościnni. Dodają ze smutkiem, że boją się poruszać tematy polityczne. Strach jest pierwszym wrogiem, któremu musimy stawić czoła, gdy przystępujemy do walki o wolność, i często towarzyszy nam do końca. Strachu nie musimy zupełnie się wyzbywać. Wystarczy tylko tyle, byśmy mogli dalej działać, bo działanie mimo strachu wymaga ogromnej odwagi.

„Nie, nie boję się. Po roku wdychania nocami więziennego powietrza uciekam w smutek, by tak

² Przekład Seweryna Pollaka i Eugenii Siemaszkiewicz (red.).

³ I. Berlin, *Wstęp [w:] Cztery eseje o wolności*, tłum. D. Lachowska, Warszawa 1994, s. 35 (red.).

nazwać tę ucieczkę. Nieprawda. Boję się, Kochany, ale udawaj, że tego nie widzisz”. Dzielnosc Iriny Ratuszyńskiej to codzienny los dysydentów. Udają, że się nie boją, wypełniając codzienne obowiązki, udają, że nie widzą, że inni też udają. To nie jest hipokryzja. To odwaga, którą trzeba świadomie podtrzymywać z dnia na dzień, z chwili na chwilę. Na tym polega walka o wolność, którą musimy toczyć, aż nadejdzie czas, gdy zyskamy prawo do wolności od strachu, jaki budzi okrucieństwo i niesprawiedliwość. Achmatowa i Ratuszyńska były Rosjankami. Henley był Anglikiem. Ale walka przeciw opresji i żarliwe pragnienie, by być panem swego losu, kapitanem swej duszy, jest wspólna wszystkim rasom.

O ogólnoludzkim pragnieniu wolności przypomniły nam poruszające wydarzenia na Bliskim Wschodzie. Birmańscy jak wszyscy śledzili je podekscytowani. Jesteśmy nimi szczególnie zainteresowani z uwagi na wyraźne podobieństwa między tunezyjską rewolucją w grudniu 2010 r. a naszą rewoltą w 1988 r. Obie zaczęły się od drobnych, na pozór nieistotnych incydentów. Nieznany tunezyjski sprzedawca owoców pokazał, jak ważne są podstawowe prawa człowieka. Jeden skromny człowiek uprzytomnił światu, że jego ludzkie prawo do godności jest dla niego cenniejsze niż życie. Iskra roznieciła rewolucję. W ranguińskiej herbaciarni wybuchła kłótnia między studentami i miejscowymi, według studentów rozstrzygnięta przez policję niesprawiedliwie. Wybuchły demonstracje, w których zginął student Phone Maw. To była iskra, która wznieciła w całym kraju protesty przeciwko dyktaturze Partii Socjalistycznego Programu Birmy.

Przyjaciółka powiedziała mi pewnego razu, że przystawione źdźbło, które przebrało miarę na grzbiecie wielbłąda, stało się nie do zniesienia wtedy, gdy zobaczył się on w lustrze. Pomyślał, że ciężar, który niesie, jest nie do przyjęcia, zalał się, odmówił niesienia uciążliwego ładunku. W Tunezji i Birmie lustrem tym była śmierć dwóch młodych mężczyzn – ludzie zobaczyli

w nim nieznośny ciężar niesprawiedliwości i ucisku. To naturalne, że młodzi tęsknią za wolnością. Pragnienie, by rozpostrzeć młode skrzydła, jest tyleż silne, co instynktowne. Nie jest dla nas w Birmie zaskoczeniem, że awangardą rewolucji była tunezyjska młodzież. Nie jest też zaskoczeniem, że wśród żądających prawa do decydowania o własnym losie wyróżnił się młody raper.

W Birmie raperzy są trzonem Fali Pokolenia, nieformalnej organizacji walczącej o demokrację i prawa człowieka. Wielu trafiło do więzień po „szafranowej rewolucji” mnichów, około piętnastu nadal w nich siedzi. Birmańskie władze, podobnie jak obalony właśnie tunezyjski rząd, nie lubią żywej, niekonwencjonalnej młodzieży. Widzą w niej zagrożenie dla porządku, który narzuciły naszemu krajowi. W oczach tych, którzy wierzą w wolność, młodzi raperzy są przyszłością nieskrępowaną więzami przesądów, arbitralnej władzy, przepisów, ucisku i niesprawiedliwości.

Podobieństwa między Tunezją i Birmą łączą na całym świecie ludzi żądających wolności. Są też różnice, które spowodowały tak odmienne skutki obu rewolucji. Pierwsza była taka, że tunezyjscy żołnierze nie strzelali do współplemieńców, a birmańscy tak. Druga, na dłuższą metę ważniejsza, była taka, że rewolucja tunezyjska skorzystała w ogromnym stopniu z dobrodziejstw rewolucji komunikacyjnej. Dzięki niej mogła lepiej organizować się i koordynować posunięcia, a także zwrócić na siebie uwagę światowej opinii publicznej. O każdej śmierci – nawet o każdej odniesionej ranie – świat dowiadywał się w parę minut. Rewolucjoniści libijscy, syryjscy, a teraz jemeńscy informowali na bieżąco światową publiczność o zbrodniach reżimów. Zdjęcie trzynastoletniego, zamęczonego na śmierć syryjskiego chłopca wzbudziło powszechne oburzenie, zmuszając polityków do publicznego potępienia reżimu w Syrii. Komunikacja to kontakt, a w przypadku bliskowschodnich rewolucji to kontakt bez ograniczeń.

Czy zazdrościmy Tunezyjczykom i Egipcjanom? Tak, zazdrościmy im szybkiej, pokojowej transfor-

macji. Ale nad zazdrością przeważa solidarność i świeży entuzjazm wobec tego, co jest wspólną sprawą wszystkich kobiet i mężczyzn ceniących ludzką godność i wolność. Dążąc do wolności, uczymy się być wolni. Wiara w wolność kierować ma naszym działaniem. Na tym polega życie w prawdzie, o którym mówił Václav Havel. Spełniamy nasze obowiązki z wolnej, nieprzymuszonej woli mimo niebezpieczeństw, na jakie się narażamy, próbując żyć w zniewolonym kraju jak wolni ludzie. Korzystamy z wolności wyboru, wybierając słuszną wedle nas drogę, nawet jeśli prowadzi to do ograniczenia innych naszych wolności, bo wierzymy, że wolność rodzi jeszcze więcej wolności. Stare kobiety i młodzi mężczyźni, którzy pracują za darmo w lokalu NLD, korzystają z prawa wyboru trudnej drogi do wolności. Mówiąc teraz do was, ja też korzystam z mojego prawa do swobodnego porozumiewania się i już samo to sprawia, że czuję się znacznie bardziej wolna.

Zgodnie z wizją Maxa Webera polityki jako powołania – nasz sprzeciw to powołanie. Podejmujemy dysydencką działalność w imię wolności, gotowi próbować raz po raz z zaangażowaniem, poczuciem odpowiedzialności i zachowaniem proporcji osiągnąć coś, co niektórym wydaje się niemożliwe. Walczymy z otwartymi oczami o urzeczywistnienie naszego marzenia o wolności.

Zakończę ten wykład moją ulubioną strofą Kiplinga, dziękując wielce Timothy'emu Gartonowi Ashowi, który zwrócił mi na nią uwagę. „Cesarzowi samemu nie ustąpiłbym miejsca, / Królom z drogi nie zeszedłbym precz, / Przed Zwierzchnikiem Kościoła nie uchyliłbym czoła! / Ale teraz – to inna wszak rzecz! / Nie chcę walczyć przeciwko napowietrznym Potęgom / – Przejsz mu dajcie, odźwierni gwardziści! / Most zwodzony niech spadnie: boć tu nami On władnie, / Ów marzyciel, co w prawdę sen ziści!”⁴.

II. O sprzeciwie

Kiedy z wielkim wahaniem zdecydowałam się na wykłady BBC im. Johna Reitha⁵, powodem była prosta chęć odkrycia, kim jesteśmy. Przez „my” rozumiem Narodową Ligę na rzecz Demokracji, NLD, jak też inne ugrupowania i osoby zaangażowane w birmańską kampanię na rzecz demokracji. O demokrację walczyliśmy od ponad dwudziestu lat, więc uznacie, że powinniśmy dobrze wiedzieć, kim jesteśmy. Tak, wiemy to, ale tylko do pewnego stopnia. Łatwo powiedzieć, że się należy do jakiejś partii, np. do NLD lub innej, ale potem sprawy się komplikują.

Uświadomiłam to sobie jasno w listopadzie zeszłego roku (2010), kiedy zwolniono mnie z trzeciego aresztu domowego. Należy się państwu wyjaśnienie. Wiele się zdarzyło, kiedy przebywałam w odosobnieniu, odcięta od świata zewnętrznego. Dwa godne szczególnej uwagi i – rzekłabym – niefortunne wydarzenia w Birmie to referendum w 2008 r. i wybory powszechne minionego listopada. Referendum miało udowodnić – taką przynajmniej miała nadzieję rządząca junta wojskowa – że ponad 90 proc. głosujących popiera nową konstytucję, konstytucję, która dawała wojsku prawo do przejścia wszystkich uprawnień rządu, gdyby tylko uznało, że wymaga tego dobro narodu. Pierwsze od blisko dwudziestu lat wybory powszechne miały odbyć się zgodnie z tym, co generałowie dość śmiesznie nazwali „mapą drogową zdyscyplinowanej demokracji”.

I tu zaczynają się problemy. Aby uczestniczyć w wyborach, nowe partie musiały zarejestrować się w komisji wyborczej wraz ze starymi, które rejestrowały się jeszcze w 1988 r. Musiały zobowiązać się do przestrzegania konstytucji sprzed dwóch lat, a także usunąć ze swych szeregów wszystkie osoby odbywające karę więzienia, w tym odwołu-

⁴ R. Kipling, *Kim*, tłum. J. Birkenmajer, Poznań 1926 (red.).

⁵ Cykl corocznych wykładów radiowych emitowanych od 1948 r., prowadzonych przez ważne osobistości (red.).

jące się od wyroków. Dotyczyło to i mnie – gdyby NLD chciała się zarejestrować, musiałaby mnie wyrzucić. Prawa do bycia partią polityczną postanowiła dochodzić w sądzie, choć dobrze wiedzieliśmy, że birmańskie sądy nie są niezawisłe. Kiedy w zeszłym roku, ledwie dwa dni po wyborach, opuściłam areszt domowy, zasypano mnie gradem pytań. Czy Narodowa Liga na rzecz Demokracji jest organizacją nielegalną? Jak widzę rolę naszej partii, kiedy pojawiła się oficjalna, nieobejmująca nas opozycja? (skądinąd to parę partii dysponujących niespełna 15 proc. deputowanych do Zgromadzenia Narodowego).

Na pierwsze pytanie odpowiedź była prosta – nie jesteśmy organizacją nielegalną, nie naruszyliśmy żadnych przepisów skutkujących delegalizacją. Drugie pytanie – o rolę naszej partii – było trudniejsze, bo jej położenie stało się mniej jasne po wyborach 1990 r., w których zdobyła ona ponad cztery piąte głosów, czym zaszokowała rządzącą Państwową Radę Odbudowy Prawa i Porządku, bo taka była wtedy oficjalna nazwa birmańskiej junty wojskowej. Dodam, że przez lata militarnego reżimu powstał bogaty słownik orwellowskich terminów.

Są kraje, w których fałszuje się lub zawłaszcza wybory albo wybuchają wojny o ich wyniki, ale Birma jest z pewnością jedynym, w którym wynik głosowania został oficjalnie uznany w rządowej gazecie, po czym nie stało się nic. Mimo obietnic junty, że po wyborach odpowiedzialność za rządy zostanie przekazana zwycięzcom, a wojsko wróci do koszar, nie zrobiono nic, by umożliwić zwycięskiej partii i wybranym posłom sprawowanie normalnych funkcji. Najwidoczniejszym skutkiem wyborów 1990 r. były systematyczne represje, spadające na wszystkie partie i organizacje, formalne i nieformalne, a także na osoby uporczywie domagające się spełnienia żądań birmańskiego narodu, który chce demokracji.

Wygraliśmy, ale te wybory były początkiem chudych lat NLD. Partia podejmowała usilne próby przetrwania – tylko tyle. Zewnętrzni obserwa-

rzy mogli to uznać za początek końca. Minął za ledwie rok, nim przewodniczący U Tin Oo i inni czołowi przywódcy partii zostali uwięzieni, a ja trafiłam do aresztu domowego. Kiedy po sześciu latach zwolniono U Tin Oo i mnie, stwierdziliśmy, że wielu naszych najlepszych działaczy nadal jest za kratami, wyemigrowało lub zmarło, niektórzy w więzieniu. Inni podupadli na zdrowiu po latach spędzonych w trudnych więziennych warunkach, bez minimum opieki zdrowotnej. Partia była zmuszona zamknąć większość lokali. Naszą działalność drastycznie ograniczały liczne przepisy i regulacje, a każdy nasz ruch śledził bacznie wszechobecny wywiad wojskowy. WW – „wuwu”, jak mówili z ponurą poufałością niektórzy – mógł zabrać każdego z nas o dowolnej porze (oni woleli środek nocy) pod dowolnym zmyślnym zarzutem. Jednak mimo ciągłych prześladowań nadal, inaczej niż dziś, pozostawiliśmy legalną partią polityczną, którą zaczęto nawet nazywać „opozycją”. Byliśmy więc opozycją, ale nieoficjalnie. Czy powinniśmy uznać, że nią jesteśmy, skoro przeciwstawiamy się rządowi, wszystko jedno – legalnemu czy nie?

W 1997 r. Państwowa Rada Odbudowy Prawa i Porządku zmieniła nazwę na Państwową Radę Pokoju i Rozwoju. Junta poszła za radą astrologów, którzy powiedzieli, że to konieczne, by zażegnać groźbę przewrotu, choć może znudziły się jej dowcipy z angielskiego skrótu SLORC (State Law and Order Restoration Council), który pachniał nieprzyjemnie sztucznymi organizacjami jak SMASH. Tego nie dowiemy się nigdy. Zgodnie z oficjalnym wyjaśnieniem nowa nazwa odpowiadać miała nowym, szerszym i ambitniejszym zadaniom junty, która ponoć zrealizowała już deklarowany cel, czyli zaprowadzenie prawa i porządku. Nie odbiega to nawet daleko od prawdy, bo prawo i porządek to po birmańsku tyle co spokój, zastraszenie, zdławienie, przygnięcie.

Prawo i porządek w reżimowym wydaniu budziły nasz zdecydowany sprzeciw – społeczeństwo spokojne, zastraszone, zdławione i przygnięcone

było całkowitym przeciwieństwem tego, do czego dążyliśmy. NLD nabierała twardszych konturów, kiedy stanęliśmy wobec wyzwania niesionych przez walkę o przetrwanie w formie organizacji politycznej pod rządami wojskowej dyktatury. Poszukiwaliśmy idei i inspiracji w naszej kulturze i historii, w rewolucyjnych zmaganiach innych krajów, w myśli filozofów, w opiniach obserwatorów, uczonych i naszych przeciwników, w radach naszych zwolenników i przyjaciół. Musieliśmy wypracować możliwie skuteczne metody i formy działania w warunkach narzuconych nam przez juntę, starając się zarazem rozszerzać granice naszych możliwości. Ale nie mogliśmy, rzecz jasna, pełnić funkcji normalnej partii opozycyjnej.

W miarę nasilania się represji ci z nas, którzy działali w NLD, czuli, że w istocie rzeczy oddalamy się coraz bardziej od formuły konwencjonalnej opozycji. Byliśmy uznaną partią polityczną, cieszącą się największym poparciem w kraju i za granicą, z czym wiązał się ciężar odpowiedzialności. Jednak nie mieliśmy żadnych przywilejów przysługujących takiej partii w normalnych demokracjach i niemal żadnych elementarnych uprawnień legalnej organizacji politycznej. Byliśmy naraz czymś więcej i czymś mniej niż zwykła opozycja.

W jednym z pierwszych przemówień wygłoszonych w 1988 r. powiedziałam, że rozpoczynamy drugą batalię o niepodległość. Pierwsza, w połowie ubiegłego stulecia, dała nam wolność od rządów kolonialnych. Mieliśmy nadzieję, że druga uwolni nas od dyktatury wojskowej.

Doniosła rola, jaką w demonstracjach 1988 r. odegrali studenci, przypomina o tamtych studentach, którzy w latach trzydziestych wyszli na ulice, domagając się niepodległości i porwali za sobą kraj. Niektórzy stali się znanymi osobistościami, weszli do niepodległościowego rządu i byli przywódcami partyjnymi, aż zmiotł ich ze sceny politycznej zamach wojskowy 1962 r. Wielu tych weteranów walk o niepodległość szybko przystąpiło do ruchu na rzecz demokracji, stało się łącznikami między dawną a nową walką. Jednak dzieli

ich wiele różnic – najbardziej oczywista jest ta, że o ile nasi rodzice walczyli z władzą obcą, o tyle my starliśmy się z przeciwnikiem z tego samego narodu, tej samej rasy, religii i koloru skóry. Inna różnica, której wagę rzadko się dostrzega, polega na tym, że kolonialiści sprawowali rządy autorytarne, ale znacznie mniej totalitarne niż junta utrzymująca władzę od 1988 r.

Znana pisarka, która związała się z ruchem niepodległościowym jako studentka, a podczas japońskiej okupacji działała w podziemnym ruchu oporu, powiedziała mi w 1989 r., że w jej ocenie wyzwania, przed jakimi my stoimy, są znacznie większe od tych, z jakimi musieli zmierzyć się ona i jej towarzysze. Przed drugą wojną światową i w późniejszym okresie rządy prawa chroniły ruch niepodległościowy przed surowością brytyjskiej administracji. Kiedy kraj ogarnęła wojna i weszły wojska japońskie, nowo utworzona, dowodzona przez mojego ojca birmańska armia odgrywała rolę bufora między ruchem oporu a najgorszym elementem sił okupacyjnych. Poszukując idei i pomysłów taktycznych, które pomogłyby nam w walce, czerpaliśmy inspirację z sukcesu naszych ojców, ale nie mogliśmy ograniczyć się do własnej historii. Musieliśmy wyjść poza doświadczenia kolonialne.

Reżim tymczasem wołał trzymać się kurczowo przeszłości, zrzucał na kolonializm wszystkie bolączki narodu i oskarżał NLD o wspieranie neokolonializmu. Szukając w świecie idei i inspiracji, zwróciliśmy się w naturalny sposób ku naszemu bliskiemu sąsiadowi, Indiom. Przyjrzelśmy się taktyce i strategiom tamtejszego ruchu niepodległościowego, a także przemysłeniom i filozofii jego przywódców, szukając ważnych i użytecznych dla nas elementów.

Nauki Gandhiego o obywatelskim oporze *non violence* i sposoby, jakimi wcielał on w życie swoje teorie, weszły do praktycznego podręcznika tych wszystkich, którzy chcieli pokojowymi metodami obalać rządy autorytarne. Pociągała mnie metoda *non violence*, ale nie ze względów moralnych, jak

sądzą niektórzy. Chodziło mi o praktyczne względy polityczne. Rzecz nie sprowadza się do różnych pragmatycznych lub mieszanych interpretacji *non violence*, ruchu *satjagrahy* Mahatmy Gandhiego czy ruchu obywatelskiego Martina Luthera Kinga. Moje podejście opiera się na prostym przekonaniu, że musimy położyć kres tradycji siłowej zmiany rządów – tradycji, która stała się ciągłym utrapieniem birmańskiej polityki.

Kiedy w 1988 r. wojsko zdławiło powstanie, strzelając bez pohamowania i na oslep do nieuzbrojonych demonstrantów, setki studentów i innych działaczy uciekły przez granicę do Tajlandii. Wielu przekonanych, że – parafrazując – tych, co karabinem wojują, tylko karabin pokona, postanowiło sformować studenckie oddziały do walki o demokrację. Nigdy nie potępiałam i nie potępię drogi, którą obrali, bo mieli aż nadto argumentów dowodzących, że tylko zbrojne powstanie może obalić represyjne rządy. Ja drogę tę odrzuciłam, gdyż nie sądzę, by wiodła tam, dokąd chciałabym, żeby zmierzał mój naród.

O tych, którzy chwytają za broń, by uwolnić się od niesprawiedliwej dominacji, mówi się, że walczą o wolność. Mogą w imię patriotyzmu czy ideologii walczyć za kraj lub naród albo w imię równości i praw człowieka za tych, których łączy rasa lub wyznanie. Wszyscy oni walczą o wolność.

Kto nie strzela, tego nazywają działaczem. To ogólne określenie tych, którzy walczą o sprawy polityczne – działacze praw obywatelskich, działacze antyapartheidowi, działacze praw człowieka, działacze demokratyczni. Czy my, którzy ciągle mówimy o prawach człowieka i demokracji, należymy do tych dwóch ostatnich kategorii? Nazwać tych z nas, którzyśmy zaangażowali się w ruch na rzecz demokracji, działaczami demokratycznymi byłoby trafnym, ale za wąskim określeniem istoty naszej działalności. Politolog, który porównywał Indonezję Suharto z Birmą pod rządami dyktatury wojskowej, zauważył, że u nas wojsko „dokonało zamachu na całą cywilną politykę”. Wniosek z tej trafnej obserwacji jest taki, że za-

danie NLD nie sprowadza się do udziału w polityce – musimy odbudować struktury społeczne, w których cywile mieliby zapewnione należne im miejsce.

Nie chodziło nam jak opozycyjnym partiom o to, żeby jeden rząd zastąpić drugim. Nie chodziło nam też, jak można by oczekiwać po działaczach, o konkretne zmiany w ramach systemu. Żyliśmy i pracowaliśmy dla sprawy, która ogarniała ogół aspiracji naszego narodu, nie tak znowu różnych od aspiracji innych. Mimo usilnych prób reżimu odizolowania nas od reszty świata nigdy nie czuliśmy się w naszej walce osamotnieni. Nie czuliśmy się osamotnieni, bo z autorytaryzmem i uciskiem walczy ponad politycznymi i kulturowymi podziałami cała ludzkość.

Przez lata domowego aresztu radio – ten mój łącznik z wielkim, wspaniałym światem – pozwalało mi podróżować po nim tak łatwo jak po własnej ulicy. Z radia dowiedziałam się o akcjach NLD pod moim domem, o upadku muru berlińskiego, o rozpadzie bloku wschodniego, o konstytucyjnych przemianach w Chile, o postępach demokratyzacji w Korei Południowej, o klęsce apartheidu w RPA. Od rodziny dostawałam co pewien czas książki – pisma Václava Havla, wspomnienia Andrieja Sacharowa, biografie Nelsona i Winnie Mandelów, eseistykę Timothy’ego Gartona Asha. Południowa Afryka, Południowa Ameryka, Azja – gdziekolwiek żądano sprawiedliwości i wolności, tam byli nasi przyjaciele i sojusznicy.

Po uwolnieniu z aresztu domowego korzystałam z każdej okazji, by mówić Birmańczykom o odwadze i cierpieniach czarnych obywateli RPA, o życiu w prawdzie, o sile bezsilnych, o tym, czego możemy nauczyć się od tych wszystkich, dla których walka była ich życiem, tak jak naszym życiem jest nasza walka.

Nazwano mnie dysydentką – może dlatego, że tyle mówiłam o wschodnioeuropejskiej opozycji demokratycznej. Václav Havel zdawał się nie lubić tego określenia, nadanego jemu i innym obrońcom praw człowieka w Czechosłowacji przez za-

chodnich dziennikarzy. Wyjaśnił szczegółowo, co znaczy być dysydem i czym jest ruch dysydencji w kontekście tego, co dzieje się w jego kraju. Za główne zadanie ruchu uznał służenie prawdzie – służenie temu, co jest prawdziwym celem życia – i to, że powinien on bronić prawa osoby ludzkiej, kobiety i mężczyzny, do życia w wolności i prawdzie. Na tym polega obrona praw człowieka i nasza walka o poszanowanie prawa. Dobrze oddaje to

sens tego, co robiliśmy przez lata jako NLD, więc z przyjemnością zgadzam się na nazwanie nas dysydentami. Oficjalny status naszej partii w oczach władz mało nas interesuje, bo nasze główne dysydenckie zadanie jest niezmiennie od lat, tak jak od lat niezmiennie pozostają powody, dla których jesteśmy dysydentami.

Tłum. Sergiusz Kowalski